

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 3 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor., 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts. — Rocznie 4 dol. 50 cts.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.

Redakcya i administracya KRAKÓW XV.
Nowowiejska 83 (dom własny) **Telefon Nr. 479.**

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, w Warszawie, Aleja Jerozolimska 78.
Prenumeratę przyjmuje Biuro UNGRA w Warszawie, Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Rok IX. | Kraków, 7 września 1912. | Nr. 36.

Tragedya żony truciciela.

(Treść na str. 2).



Tragedya żony truciciela.

(Do illustracyi tytułowej).

Świat już zapomniał o poruczniku Hofrichterze, którego trucicielski zamach na kolegów oficerów w Wiedniu wywołał w swoim czasie tak wielką sensacyę... Skazany na 20 lat więzienia i osadzony w Möllersdorfie, Hofrichter, który chciał dostać się do sztabu jeneralnego przez wytrucie swych współzawodników, skończył już swą karyerę i swe porachunki z życiem. W gorszem położeniu znalazła się jego żona Anna Hofrichterowa, która z początku wierząc w niewinność męża, z wielką energią go broniła. Gdy jednak wina jego została udowodnioną, wyparła się męża i zapragnęła zrzucić z siebie piętno żony truciciela. W tym celu postanowiła rozwieść się prawnie z swym mężem. Ponieważ jednak Hofrichter nie zgadza się na rozwód, nieszczęsna jego małżonka musiała wnieść skargę o rozwiązanie małżeństwa, a sądy muszą przeprowadzić długą procedurę rozwodową. W tym celu oboje małżonkowie muszą trzykrotnie stanąć przed sądem. W dniu 27 sierpnia odbyło się właśnie pierwsze przesłuchanie Hofrichterów w sądzie powiatowym w Badenie. Hofrichterowa stawiła się przed sądem w towarzystwie swego adwokata. Hofrichtera przywieziono z więzienia w Möllersdorfie pod strażą.

Na wezwanie sędziego do zgody, pani Hofrichterowa odpowiedziała z wielką stanowczością w głosie: „Nie“, poczem natychmiast opuściła salę sądową.

Ponieważ Hofrichter trwał w dalszym ciągu w swym uporze, według procedury rozwodowej muszą nastąpić jeszcze dwa takie spotkania, poczem dopiero sąd może przystąpić do unieważnienia małżeństwa.

Tytułowa illustracya nasza przedstawia pierwsze spotkanie truciciela i jego nieszczęsnej żony w sądzie powiatowym w Badenie.



Poświęcenie sokolni w Chodorowie: Ks. kanonik Badeni przemawia do zgromadzonych tłumów.

Nowa ochronka w Krakowie.

Opieka nad dziećmi zaniedbanymi lub z konieczności pozbawionymi pieczołowitych starań rodziców stanowi dzisiaj jeden z najpoważniejszych obowiązków społeczeństwa. W każdem większem mieście lub miejscu przemysłowem, gdzie mieszka ludność pracująca, wielka ilość dzieci pozostaje stale bez opieki rodzicielskiej, gdyż obowiązki zawodu i ciężka walka o byt zmuszają nieraz oboje rodziców, aby zarobkowali i tem samem trzymają ich cały dzień po za domem. Dzieci w takich razach najczęściej wychowują się na ulicy lub na opiece sąsiadów. Naturalnie, z młodzieży, w takich warunkach przygotowującej się do życia, społeczeństwo niema żadnego pożytku.

Aby złemu zaradzić, ludzie dobrej woli organizują tak zwane ochronki, czyli przytułki dla takich dzieci pozbawionych opieki rodzicielskiej. Matka, wychodząc rano za zarobkiem, oddaje swe dziecko do takiej ochrony, gdzie pozostaje ono zazwyczaj pod opieką zakonnic do wieczora, a matka wracając z zajęcia, zabiera je znowu do domu. Dzieci w ochronkach uczą się, bawią, a co najważniejsze mają przez cały dzień zapewnioną dobrą opiekę i zdrowy kierunek wychowania.



Nowa ochronka w Krakowie: Przemówienie ks. biskupa Nowaka podczas uroczystości poświęcenia ochronki na Nowej Wsi. (X) Przew. komitetu ks. Dihm.

Przed kilku dniami otwarta została w Krakowie na Nowej Wsi taka właśnie ochrona pod wezwaniem św. Wincentego a Paulo. Powstała ona staraniem szeregu osób dobrej woli, akcyę przygotowawczą zaś prowadził komitet, na czele którego stał misyonasz ks. Jan Dihm jako prezes, dyr. Kołodziejczyk i inżynierowa Daniekowa, jako wiceprezesi. Obowiązki sekretarza sprawuje p. Zimmer.

Ochrona mieści się w domu będącym własnościa „Sióstr Miłosierdzia" i pozostaje pod ich nadzorem. Do urzeczywistnienia pięknej myśli przyczyniła się też niemało ks. Radziwiłłowa.

Uroczystość otwarcia ochronki była prawdziwem świętem dla Nowej Wsi. Aktu ceremonialnego dopełnił ks. biskup Nowak, który serdecznie przemówił do licznie zgromadzonych obywateli. Przemawiał także ks. Dihm dziękując za pomoc w stworzeniu zbożnego dzieła.

Illustracya nasza przędstawia chwilę, gdy na dziedzińcu ochronki ks. biskup Nowak przemawia do zgromadzonych.



Poświęcenie sokolni w Chodorowie: Gmach „Sokoła" w Chodorowie.

Pogrzeb generała „Armii zbawienia".

Jak donosiliśmy w poprzednim numerze, zmarł w Londynie jeden z najdzielniejszych pracowników wśród biednych i nieszczęśliwych, generał „Armii zbawienia" Wiliam Booth. Ciało jego zostało z wielkim przepychem wystawione w olbrzymiej hali „Olympii" w Londynie, gdzie pozostawało przez kilka dni. Z pogrzebem czekano bowiem na przybycie najrozmaitszych delegatów „Armii zbawienia" z różnych stron świata. Ilość odwiedzających zwłoki znanego i cenionego działacza była tak wielka, że w pierwszym dniu przesunęło się przez halę „Olympii" przeszło 100 tysięcy ludzi. Dzień i noc przy trumnie odbywały się modły. Co kwadrans dzieci śpiewały „werset psalmu", co kwadrans odzywał się smutny głos kaznodziei, co kwadrans odzywały się organy, wtórując chórowi mieszanemu „oficerów" obojga płci.



Pogrzeb generała „Armii zbawienia": Kondukt pogrzebowy.

Sam pogrzeb był wspaniałą manifestacyą. Wzięli w niej udział licznie robotnicy i ludność uboga Londynu, dla której Booth z takiem poświęceniem całe swoje życie pracował. Ceremonie pogrzebowe rozpoczęły się wczesnym rankiem i trwały prawie cały dzień. Kiedy wreszcie wyruszył olbrzymi kondukt pogrzebowy, ciało zmarłego generała włożono na katafalk, umieszczony na wozie. Wóz otoczyli oficerowie „Armii zbawienia". Bardzo licznie stawiły się oddziały „Armii zbawienia" z całej Anglii, tak iż udział uczestników pogrzebu obliczono na kilka kroć.

Za trumną postępowali syn, a obecnie następca zmarłego generała Bramwell Booth oraz żona jego pani Booth Hellberg.

Illustracye nasze przedstawiają zwłoki zmarłego generała Bootha, wystawione w „Olympii" i kilka momentów z pogrzebu.

Nowy gmach Tow. wzaj. ubezp. urzędników prywatnych we Lwowie.

Piękna uroczystość „domowa" jakkolwiek na otwartem miejscu, odbyła się w tych dniach na placu budowy nowego hotelu Krakowskiego we Lwowie. Poświęcono kamień węgielny trzech nowych gmachów, które na tem miejscu — róg placu Bernardyńskiego i ul. Piekarskiej — buduje Towarzystwo wzaj. ubezp. urzędników prywatnych. Swiadkami tego uroczystego aktu byli między innymi: członkowie prezydyum miasta, pp. prez. Neuman i wiceprez. dr. Stahl, dyrektor urzędu budowniczego p. Gorecki, prezes Paweł ks. Sapieha, wiceprezesi dyr. Padewski i dr. Ernest Adam, pp. dr. Bartoszewicz, Schnell, Ulmer, urzędnicy Towarzystwa z wicedyr. dr. Majerskim na czele, techniczny konsulent Tow. prof. Krzyczkowski, oraz poważna rzesza zatrudnionych przy budowie robotników.

Ceremonii poświęcenia dokonał Bernardyn O. Pieniążek, poczem dyr. dr. Majerski odczytał przygotowany akt pamiątkowy. Następnie prezes Tow. Paweł ks. Sapieha w podniosłych słowach zaznaczył wybitnie społecznie znaczenie tej poważnej instytucyi i zwrócił się do Prezydyum miasta z go-



Nowy gmach Tow. wzaj. ubezp. urzędników prywatnych we Lwowie: Uroczystość poświęcenia kamienia węgielnego pod budowę nowych gmachów. (X) Prezes Paweł ks. Sapieha, 1. prezydent m. Lwowa Neuman, 2. wiceprezes Towarzystwa dr. Riel.



Pogrzeb generała „Armii zbawienia": Trumna ze zwłokami Wiliama Bootha, wystawiona na widok publiczny w hali „Olimpii" w Londynie.



Budowa „drapaczy nieba“: Robotnicy zakładają belki sufitowe na wysokości pięćdziesiątego piętra.



Budowa „drapaczy nieba“: Robotnik montuje żelazne trawersy na szczycie „drapacza“.

rącą prośbą o otoczenie tak budowanych gmachów, jak i samego Towarzystwa życzliwą i serdeczną opieką, na jaką ono w imię swych zadań i celów szczerze zasługuje.

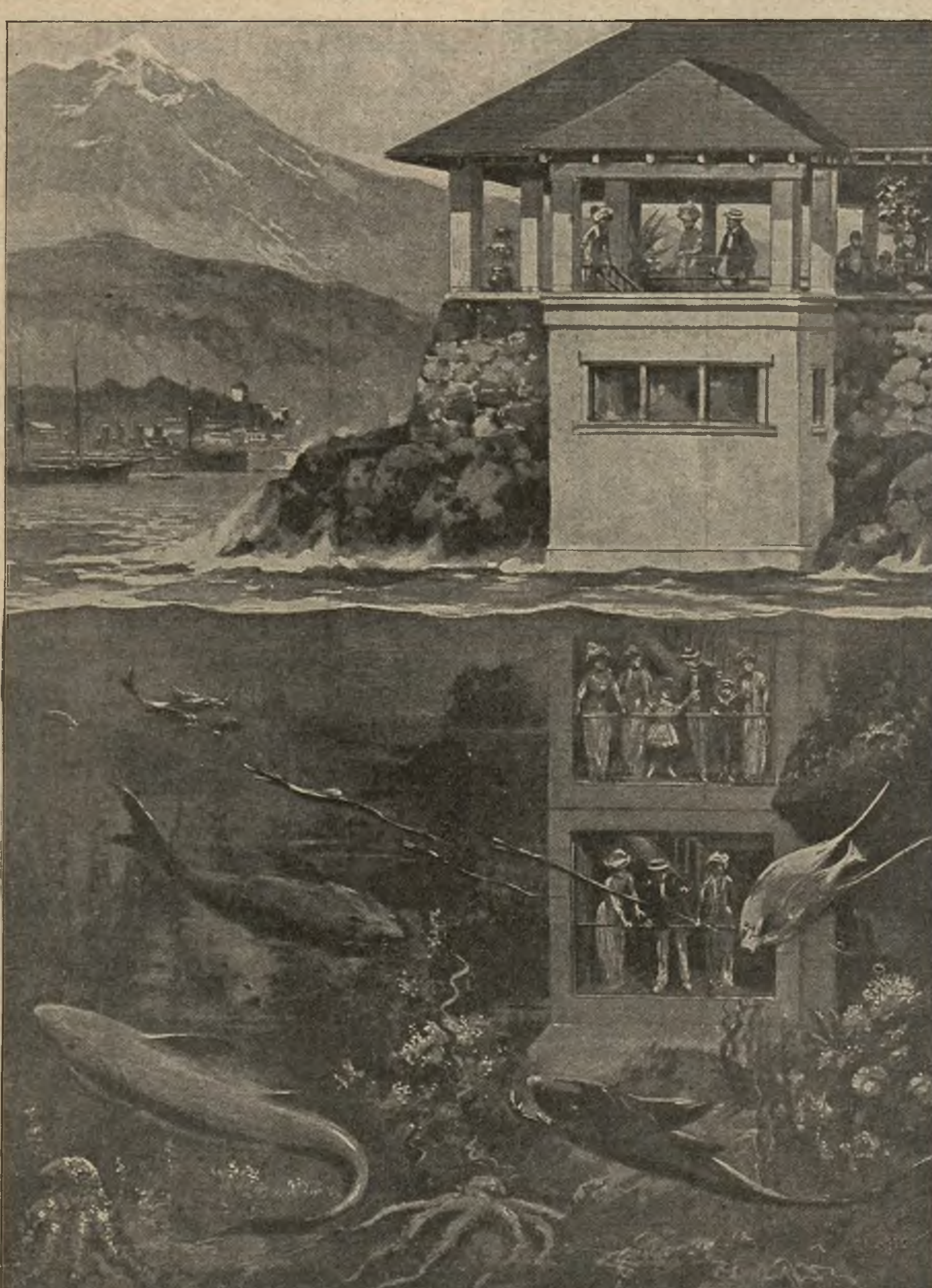
Na budowę gmachów, na które składają się: wspaniały monumentalny gmach hotelowy, dom administracyjny, przeznaczony na biura Towarzystwa i osobny dom czynszowy, rozpisany był konkurs, który jednak nie odpowiedział stawianym wymaganiom. Wobec tego Towarzystwo poleciło wykonać jeszcze plany firmom: E. Zychowicz oraz Kędzierski i Opolski. Przyjęto plany p. Edmunda Zychowicza — jemu też, w drodze ofertowej, powierzono budowę. Budowle te wykończone być mają pod jesień przyszłego roku i będą niewątpliwie ozdobą miasta.

Budowa „drapaczy nieba“.

Ameryka pod względem technicznym dawno prześcignęła Europę.

Takich zakładów fabrycznych, takich urządzeń technicznych, jakie posiadają Jankesi, niema Europa, a konkurencya na tem polu przynosiła zawsze im zwycięstwo. Nie mamy także na starej ziemi takich budowli, jakie ma Ameryka. Słynne „drapacze nieba“, sięgające niemal w chmury, zamieszkałe przez tysiące ludzi, są w Europie czemś prawie nieznanem.

Budowanie takich olbrzymów wymaga specyalnie uzdolnionych robotników, ponieważ budowa nie może być prowadzona tak, jak przy naszych kilkopiętrowych kamienicach przy pomocy zewnętrznych rusztowań. Wszystko robi się w powietrzu. Robotnicy, zawieszeni na strasznej wysokości, między niebem a ziemią, pracują montując żelazne dzwigary i belki, które tworzą szkielety tych olbrzymów. Do pracy takiej trzeba też wielkiej odwagi. A choć wypadki bywają stosunkowo dość częste, chętnych do karkołomnej roboty nie brak. Jest ona też odpowiednio dobrze płatna.



Hotel na dnie morza: Hotel w Honolulu z kabinami na dnie morza, z których można obserwować życie fauny morskiej.



Z pola walki w Trypolisie: Transportowanie ciężkiego działa przez piaski pustyni.

Królewiacy

przez

Artura Gruszeckiego.

33)

— Ile bilety będą kosztowały? — spytała pospiesznie Czajkowska.

— Załatwimy to z panem Romanem, i żałuję, że mu tej wiadomości z Warszawy nie mogłem udzielić.

— Irenko, wracamy! — ucałowała córkę rozczulona Czajkowska po wyjściu doktora, — i zdaje mi się, że on to zrobił dla ciebie.

— Niechże go mama nie obniża w moich oczach. On nie zrobił tego z egoistycznych pobudek, tylko jako uczciwy przyjaciel.

* * *

Po dżdżystej nocy nastąpiła wspaniała pogoda. Kraków wyludnił się, kto żyw spieszył na Błonia, a loże, trybuny, galerye, zapełniła szczelnie kilkudziesięciotysięczna publiczność, ażeby być świadkiem niezwykłych ćwiczeń pięciu tysięcy Sokołów na boisku.

Sokoli zgromadzeni na boisku stanęli w zwartych szeregach i wykonywali z zadziwiającą precyzyą ruchy, zwroty, przemarsze i ćwiczenia gimnastyczne. Przy ostatniem ćwiczeniu: „rzut kamieniem“ zabrzmiała chóralna pieśń z piersi tysiąca Sokołów: „Ospały i gnuśny zgrzybiały ten świat...“.

Melodya, pełna ognia i siły, a śpiewana rytmicznie, z zapałem, budziła w sercach słuchaczy siłę, odwagę i pragnienie czynu, a gdy przyszły słowa:

„Hej bracia, kto ptakiem przelecieć chce świat,
„Ten skrzydła sokole od młodych ma lat“.

Słuchaczów przeszły dreszcze, a z rumieńców, z błysków oczu, z prostującej się postawy widać było silne wrażenie. Grzmotem oklasków podziękowała publiczność Sokołom za tę chwilę pieśni.

Na widok kilku tysięcy wyćwiczonych po wojskowemu Sokołów, widzowie zdumieli się i czuć było wahanie się nad sposobem patrzenia na te pułki umundurowane. Była-li to drużyna gimnastyczna, czy też związek zdrowych, silnych ludzi, czujących potrzebę stowarzyszania się, bo w jedności siła.

I nagle, jak gdyby przejrzeli i zrozumieli, że to są przecież potomkowie tych zwycięskich rycerzy z pod Grunwaldu, że to krew z krwi naszej, kość z naszej kości, że jeśli był Grunwald dawniej, może urzeczywistnić się i teraz, że ci Sokoli, to zwiastuni przyszłej chwały i zwycięstwa.

I rozpłomieniły się dusze wspomnieniami Polski, wojującej od stu lat za wolność naszą i waszą.

Lecz w tym zespole Sokołów z Krakowa, z całej Galicyi, z Wielkopolski, ze Śląska, z Ameryki, brakło tych, którzy sztandar wolności nieśli zawsze na czele, mimo krwi, pożogi, zawiei i burz śniegowych. Do harmonii, brakowało przewodniej melodyi, tonu decydującego, dźwięku najistotniejszego, gdyż nie stanęli w szeregu ci, których hasło budziło serca i duchy całej Polski.

I nastała chwila wielkiej ciszy, oczekiwania na nich, na tych braci przewodnich, najwytrwalszych w walce. Zdawało się, iż można było słyszeć bicie serca tego olbrzymiego tłumu.

Wtem od strony wejścia rozstąpiło się koło Sokołów i utworzyło szpaler, przez który czwórkami weszli młodzi, zgrabni, dzielni Sokoli w brunatnych samodziałowych kurtkach z wyłogami granatowymi i bez żadnej komendy ustawili się na środku boiska w równych szeregach.

I nagle niewiadomo skąd i jak przeszedł wśród zgromadzonych tłumów szept radosnego współczucia i dumy:

— Oni!

Oni, to Królewiacy.

Zaledwie zrobili kilka obrotów, gdy jak nagła burza zerwał się okrzyk wielotysięczny:

— Nasi!

I w jednej chwili tysiące Sokołów skoczyło na boisko i wzniosło na swych ramionach Sokołów z Królestwa, wznosząc okrzyk:

— Niech żyją!

Panie rzucały kwiaty, oklaski nie ustawały i rozczulone okrzyki:

— Niech żyją nasi bracia!

Nietylko Czajkowscy, ale gdziekolwiek spojrzeć, wszędzie widać było niezmierne wzruszenie, a większość płakała.

Nastąpiły dalsze ćwiczenia z karabinami, mustra, przy których nastrój, wywołany braterstwem dzielnic Polski i widokiem sprawności kilkutysięcznego oddziału, nie zmniejszał się, lecz urastał w coraz większy zapał i zachwyt.

Gdy Czajkowscy opuścili swe miejsca po skończeniu ćwiczeń, spotkali się na Błoniach z Terlikowskimi i pierwsza radczyni z niezwykłą szczerością zbliżyła się szybko do idących, mówiąc:

— Ach, moja Sabinko, jakież to było piękne! Jak ich witano! To możliwe jest tylko u nas, w Krakowie.

— Jestem zachwycona, i dzień ten będzie dla mnie najmilszem wspomnieniem, — odpowiedziała wzruszona Czajkowska.

— Moja kochana Sabinko, — zniżyła głos, — czy doktor się już oświadczył?

— Wcale nie, a pan Maryewski? — spojrzała na Klimcię idącą z adjunktem.

— Prawie po słowie, nie pozwoliłabym inaczej iść im tak oddzielnie. A co u ciebie słychać nowego?

— Wszystko po staremu, to jedno pocieszające, że Roman ma otrzymać pozwolenie powrotu.

— Jakże się cieszę, ale Klimcia mnie szuka, do widzenia, moja droga, przyjdź do nas.

Doktor, gdy Irena mówiła o zapale publiczności przy zjawieniu się Królewiaków, powiedział z uśmiechem dobrodusznym:

— A co panno Ireno? czy nie mówiłem: *grattez un Cracovien, vous trouverez toujours un Polonais!*



— A co panno Ireno? czy nie mówiłem.

K O N I E C.

OD WYDAWNICTWA.

Po ukończeniu powieści Artura Gruszeckiego p. t. „Królewiacy“ rozpoczynamy w przyszłym numerze nowy, oryginalny utwór znanego naszym Czytelnikom autora „Czerwonej mary“, **znakomitego pisarza**

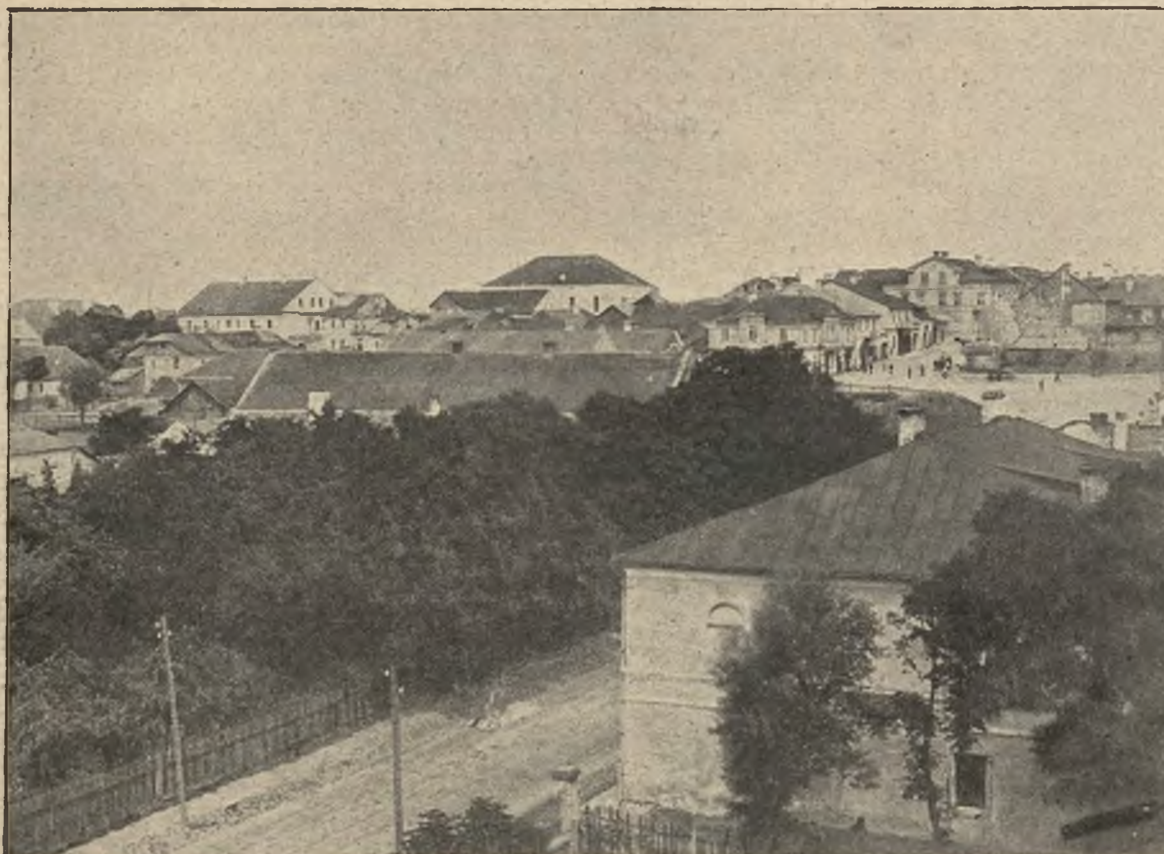
WALEREGO PRZYBOROWSKIEGO

p. t. „CIEŃ“

(POWIESC Z PRZED STU LAT).

Niezmiernie zajmująca fabuła tej powieści jak i historyczne jej tło zainteresują niewątpliwie szersze koła Czytelników.

Powieść ta, skreślona z wielkim talentem i odczuciem epoki, będzie także miłem wspomnieniem dawnych czasów w obecnym **roku Napoleońskim.**



Z wystawy w Staszowie: Ogólny widok miasta Staszowa w Sandomierskiem. (Fot. Maryan Fuks, Warszawa).

Potwierdzenie medali złotych: Tow. akcyjne „Tadeusz Kowalski i A. Trylski", Jan Zawadzki, Feliks Zaleski, Sucheni, „Alfa", „Lawel" Nobla.

Dyplomy uznania: Jan Martens, Maciej ks. Radziwiłł, Opatowska spółka mleczarska, Stefan Moszczyński, Paweł Popiel, Krajowa spółka gorzelnicza.

Medale złote: Spółka rolna radomska, Aleksander ks. Drucki Lubecki, Maciej ks. Radziwiłł.

Medale srebrne: Zdzisław Zaleski, Rzewuski, Romuald Piętka, firma „Wierzbnik", Stanisław Starski z Sulejowa.

List pochwalny: Leon Hassfeld.

W oddziale hodowli bydła rogatego nagrodzone zostały:

Dobra Staszów za bydło holenderskie na folwarku Sichów, medal złoty, a za grupę jałowic i byczków medal bronzowy. Obora Jacentów medal srebrny i za byczka dyplom uznania. Obora Niziny list pochwalny. Obora Błonie medal srebrny. Obora Zachcin list pochwalny. Obora Uljany, medal bronzowy. Dobra Staszów: za grupę Szwyców medal złoty, za grupę Simmenthalerów list pochwalny, za grupę bydła krajowego medal srebrny. Obora z Wojczy list pochwalny. Obora Skorocice list pochwalny.

Z działu przemysłu fabrycznego: Fabryka Ćmielów za wyroby porcelanowe — medal złoty. Maciej ks. Radziwiłł za wyroby ceramiczne, cukier i wyroby mleczarskie — medal złoty i dyplom uznania. Opatowska mleczarnia — dyplom uznania. Stefan hr. Moszyński za wyrób serów — dyplom uznania. Spółka gorzelnicza — dyplom uznania. Ignacy Porwey za wyroby mydlarskie — medal bronzowy. Sternbergowi

Z wystawy w Staszowie

W dzisiejszym numerze zamieszczamy jeszcze szereg zdjęć z wystawy w Staszowie. Cztery dni, przez które wystawa trwała, w historyi rozwoju przemysłowo rolniczego Królestwa Polskiego odegrały bardzo ważną rolę. Urządzenie wystawy było pod względem technicznym wzorowe i zakrojone na sposób europejski.

Na wystawie obok przedmiotów rolniczych wiele miejsca poświęcono naukowym okazom. Inż. Karpowicz wystawił bardzo bogate zbiory entomologiczne, motyle i ćmy krajowe. Specyalną uwagę zwracał na siebie okaz szarańczy jawajskiej, wyhodowanej u nas przez uczonego przyrodnika, która zupełnie dostosowała się do warunków nowego otoczenia.

Osobny pokój poświęcono walce z alkoholizmem. Ciekawą również była wystawa urządzona przez ks. Wyporskiego, wielkiego zwolennika hodowli jedwabników. Przedstawia ona rozwój hodowli jedwabników w naszym kraju, oraz sposób prowadzenia hodowli.

Na wystawie nie brakło także rozrywek. Między innymi w sobotę wieczorem odbył się koncert urządzony przez siły amatorskie, który zgromadził liczne grono słuchaczy.

W poniedziałek odbył się wspaniały bal ziemiański, który zgromadził wielkie grono osób ze wszystkich stron kraju. Bal ten był pod każdym względem imponujący, a do kadryla stanęło przeszło 100 par.

Jedną z najuroczystszych chwil podczas trwania wystawy było rozdanie nagród. Otrzymali je następujący wystawcy:



Z wystawy w Staszowie: Uczta wydana dla włościan przez ks. Macieja Radziwiłła.



Z wystawy w Staszowie: Grupa włościan z Kieleckiego. (Fot. Maryan Fuks, Warszawa).



Z wystawy w Staszowie: Atrakcya wystawy, „Krakowskie wesele". (Fot. Maryan Fuks, Warszawa).

za wosk szewski — list pochwalny. Inż. Karpowiczowi za kolekcyę owadów i motyli — medal srebrny. Ks. Wyporskiemu za szerzenie jedwabnictwa — dyplom uznania.

Potwierdzono medal srebrny p. Soleckiemu, medal złoty p. Antosiewiczowi.

W dziale pszczelniczym otrzymali: medal srebrny ks. Rolecki, medale bronzowe księża: Trzybulski i Zaczkowski, a list pochwalny Antoni Karczmarek.

Ruch na wystawie przez czas jej trwania był bardzo wielki. W stosunkowo krótkim czasie zwiedziło ją 25 tysięcy osób. Bardzo serdecznie witano na wystawie ks. biskupa kieleckiego Łosińskiego, który wizytując sąsiednie parafie, odwiedził wystawę. Na cześć dostojnika kościelnego odbyła się uczta, w czasie której poważne toasty wypowiedzieli: ks. M. Radziwiłł i p. Wł. Psarski. Henryk Sienkiewicz nadesłał na ręce komitetu obszerny list z życzeniami.

Illustracye nasze przedstawiają szereg momenów z tej interesującej, a dla ludu wiejskiego tak pouczającej wystawy.

Z pola walki w Trypolisie.

Echa krwawych rozpraw orężnych między Włochami a Turkami w Trypolisie dochodzą obecnie coraz skąpiej do Europy. Cały punkt ciężkości operacyi wojennych przeniesiony obecnie został na morze Egejskie, gdzie Włochy obsadziły szereg wysp tureckich i gdzie flota włoska ustawicznie w szachu trzyma siły tureckie, broniące wjazdu do Dardaneli. Tam zwraca się cała uwaga sił walczących, natomiast w Trypolisie działania wojenne zeszły do cichych walk podjazdowych. Planowane wyprawy w głąb kraju nie doszły jeszcze do skutku. Pisma włoskie obszernie rozpisują się o trudnościach, jakie wstrzymują wysłanie takich ekspedycyi, jakby chciały usprawiedliwić bezczynność włoską w Trypolisie.



Z pola walki w Trypolisie: Nowozaciężna kawalerya włoska, pojąca wielbłądy.

Główne zadanie w walkach, które od czasu do czasu w około fortów włoskich w Trypolisie się rozgrywają, przypadło obecnie Askarom. Są to pułki włoskie, rekrutujące się z afrykańskich posiadłości włoskich. Przyzwyczajone do klimatu południowego, najlepiej są uzdolnione do prowadzenia walki na pustynnych terenach Trypolitańskich. Askarowie stanowią prawie wyłącznie tylko jazdę i to albo na wielbłądach, albo na lekkich stepowych koniach. Pułki te wysyłano przed kilku miesiącami na pole walki w nadziei, że przybycie ich przyspieszy znacznie akcyę wojenną. Niestety, mimo wysunięcia ich na pierwsze miejsce w linii bojowej, akcya wojenna Włochów nie posunęła się ani na krok dalej.



Z wystawy w Staszowie: Bal ziemiański. (Fot. Maryan Fuks, Warszawa).



Śmiała wyprawa krakowskich wioślarzy: Członkowie Akademickiego Związku sportowego po przybyciu z Krakowa do Nowego Sącza.

Askarowie więc, zawiódłszy pokładane w nich nadzieje, pędzą życie obozowe na równi z innymi pułkami i czekają... na zawarcie pokoju.

Illustracya nasza przedstawia właśnie taką idyllę obozową: pojenie wielbłądów.

Śmiała wyprawa krakowskich wioślarzy.

Sport wioślarski wstępuje na naszych ziemiach w nową fazę rozwoju. Zarówno w Warszawie, jak w Krakowie oraz w miastach prowincyonalnych, gdzie bliskość większych rzek umożliwia powstawanie towarzystw wioślarskich, w tym roku zabrały



Trzęsienie ziemi w Turcyi: Zburzony budynek konsulatu greckiego w Czanak-Kalessi.

się one energicznie do pracy, a pewnym przeglądem ich będą regaty wioślarskie, jakie niebawem w Krakowie się odbędą.

Pisaliśmy niedawno o utworzeniu klubu wioślarskiego w Nowym Sączu. Dzisiaj notujemy fakt, który jest chwalebnym dowodem żywotności naszych towarzystw wioślarskich.

Przed kilkunastu dniami witało Towarzystwo wioślarskie w Nowym Sączu w swej przystani miłych a zupełnie niespodziewanych gości. Przybyła mianowicie do N. Sącza załoga, złożona ze sternika p. Wacława Majewskiego i wioślarzy, pp.: Adama Ferensa, Leonarda Michalskiego, Włodzimierza Mostowskiego i Mieczysława Szalowskiego, członków akademickiego Związku sportowego w Krakowie, która po 6 dniowych, nadzwyczajnych wysiłkach dotarła z Krakowa do N. Sącza w celu złożenia powitalnej wizyty świeżo powstałemu Towarzystwu wioślarskiemu. Zaznaczyć wypada, że tego rodzaju wycieczka, ze względu na nader liczne a poważne przeszkody, jakie wioślarz spotyka na dzikiej rzece Dunajcu, była dotąd uważana za wprost niemożliwą. Akademicki Związek sportowy w Krakowie może więc się poszczycić, że jest pierwszym, który te trudy w krótkim stosunkowo czasie w całej pełni pokonał. Do powodzenia wyprawy przyczyniła się także dobra łódź, która zbudowana została w warsztatach Muranyi'ego w Krakowie i odznaczyła się nadzwyczajną sprawnością i wytrzymałością.

Trzęsienie ziemi w Turcyi.

Obecne chwile dla Turcyi są bardzo ciężkie. Nie tylko bowiem rząd się chwieje, nie tylko wojna pochłania tysiące ludzi, ale także i ziemia zaczyna się z pod nóg jej usuwać. Straszne trzęsienie ziemi nawie-



Wojna w górach: Manewry armii francuskiej w Alpach.







Z wystawy w Staszowie:

Seweryn ks. Czetwertyński, prezes Cen. Tow. Rol. zwiedza wystawę.

Sędziowie przy pracy.

Włościanie z zajęciem oglądają maszyny rolnicze. (Fot. Maryan Fuks, Warszawa).

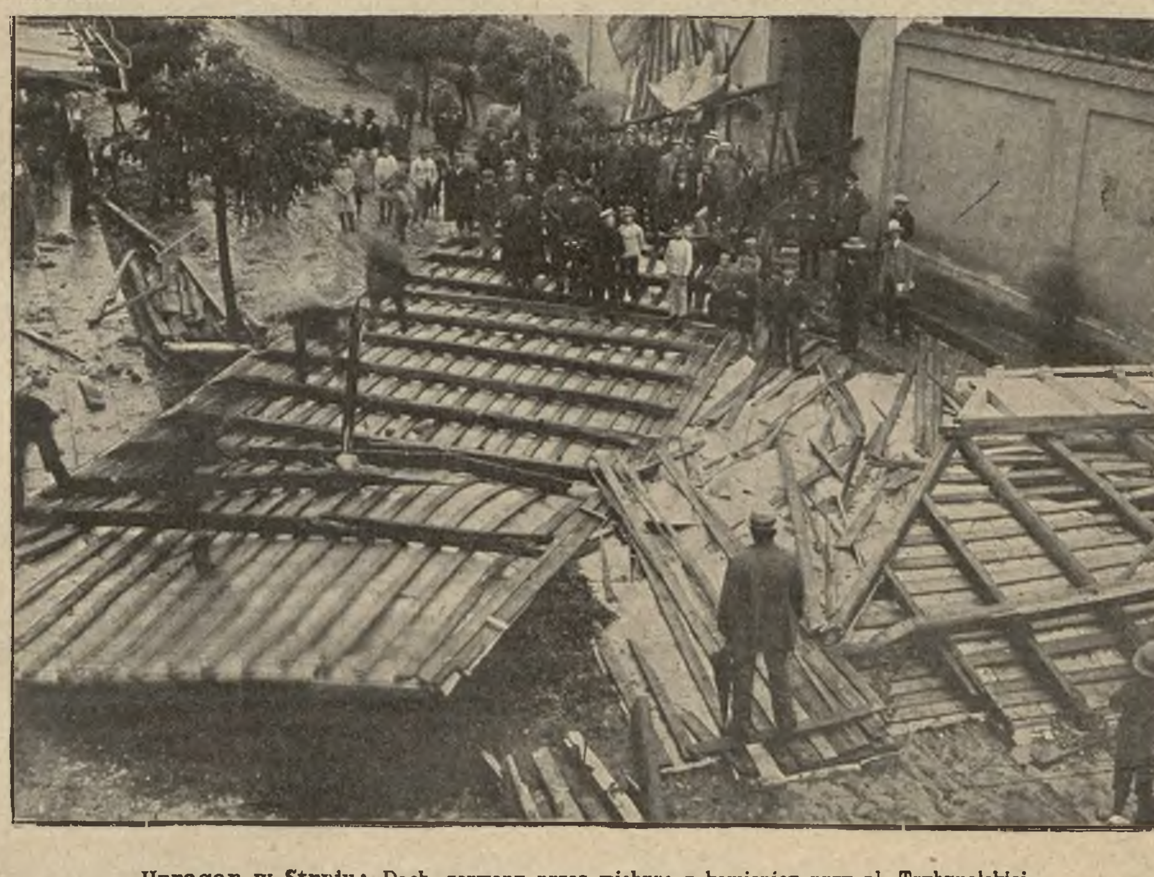
dziło wybrzeża europejskie i azyatyckie, wzdłuż Dardanellów i Bosforu. Katastrofa przyszła nagle, niszcząc całe miasta i pociągając za sobą tysiące ofiar w ludziach. Wstrząśnienia ziemi szły od morza wgłąb lądu ku Konstantynopolowi. W samej stolicy jednak nie wyrządziły one znaczniejszych szkód, prócz tego, że nabawiły ludność przestrachu. Natomiast okolice Gallipoli, oraz Adryanopola zostały formalnie spustoszone. W Gallipoli prócz jednego domu, mieszczącego kawiarnię, wszystkie inne w całem mieście legły w gruzach. Mury bulwarowe nad morzem zostały zupełnie zniszczone. Wzdłuż brzegu morza otwarła się przepaść bardzo głęboka, w którą obsunęło się kilkanaście domów, grzebiąc dziesiątki osób. W miejscowości Bahr koło Gallipoli zburzonych zostało 350 domów. Jeszcze gorszy los spotkał miasto Miriophilis. Leży ono między dwoma górami. Wskutek erupcyi podziemnej góry zostały ruszone z posad i pochyliły się gwałtownie ku sobie, a miasto leżące między nimi zostało formalnie zgniecione. Nadto wybuchł w niem pożar i całe miasto spłonęło.

W wielu miejscach wybuchły nagle źródła nafty, które zapalały się i szerzyły gwałtowne pożary.

W Adryanopolu trzęsienie ziemi pochłonęło dwadzieścia meczetów i wiele prywatnych domów.

W wilajecie adryanopolskim kilkanaście wsi zostało z ziemią zrównanych.

Wstrząśnienia ziemi powtarzały się przez kilka dni, szerząc dzieło zniszczenia.



Huragan w Stryju: Dach, zerwany przez wichurę z kamienicy przy ul. Trybunalskiej.



Trzęsienie ziemi w Turcyi: Zburzone domy w Ganos.

Huragan w Stryju.

Na szczęście, kraj nasz wolny jest od takich żywiołowych katastrof, jak trzęsienie ziemi i cyklony, które zwłaszcza w Ameryce powtarzają się stale, pochłaniając tysiące ofiar. To też już słaby odblask tych groźnych pomruków natury, wobec których człowiek staje się bezsilną igraszką, wywołuje u nas panikę i przerażenie. Podobną chwilę przeżyli w tych dniach mieszkańcy Stryja.

O g. 5 po południu przez 2 i pół minuty szalał w Stryju straszny huragan, który w ciągu tak krótkiego czasu wyrządził wielkie szkody. Między innemi pozrywał dachy z niektórych domów, przewrócił 15 wagonów kolejowych i powyrywał wiele drzew. Na szczęście obeszło się bez ofiar w ludziach.

Figle natury.

Niedościgniona w tworzeniu najdoskonalszych form matka natura pozwala sobie czasami na żarty i tworzy dziwolągi, które widziane przez pryzmat ludzkich pojęć, to rażą, to bawią, a zawsze dziwią. Przykład takiego wybryku natury przedstawia nasza illustracya. Są to dwie najzwyklejsze marchwie, wzajemnie około siebie śrubowato okręcone. Dziwy takie powstają skutkiem zbyt gęstego siewu czy sadzenia. Dwie lub więcej jednostki roślinne zrastają się nieraz fantastycznie, powstaje sroga walka, mar nieją słabsze, rówieśne tworzą wkońcu zgodny zespół, lub skręcają się potwornie.

Symboliczny obraz społecznej walki o byt!



Wyścigi cyklistów w Krakowie: Uczestnicy wyścigów.

Wojna w górach.

Wojna w obecnych czasach staje się coraz bardziej skomplikowaną i z coraz większemi połączona trudnościami. Pomimo wszelkich zdobyczy technicznych — największą przeszkodę w skutecznem prowadzeniu kampanii wojennej stanowią trudności terenu. Włosi nie zdołali dotychczas przezwyciężyć tych naturalnych, a często niezdobytych fortów, jakiemi są olbrzymie pustynie Trypolisu. Inny rodzaj trudności w wojnie stanowią góry... Każda jednak armia stara się przygotować specyalne oddziały, zdolne do walki na terenie górskim. Sztuka wojenna nie cofa się nawet przed tak trudnym terenem, jak niedostępne Alpy. Na illustracyi naszej widzimy właśnie ćwiczenia oddziałów górskich armii francuskiej w Alpach, na granicy włoskiej.



Figle natury: Dwie zrośnięte marchwie, wzajemnie około siebie okręcone.



Wyścigi cyklistów w Krakowie: Wyjazd z przed gmachu „Sokoła".

Jerzy Spitzmuller i Armand Le Gay.

FABRYKANT MUMII.

Tłum. z francuskiego.

23

Vanesco zbladł gwałtownie, jak gdyby miał zemdleć. Opadł bezsilnie na poduszki i zamknął oczy. Ale szybko zapanował nad tą przejściową słabością i rzekł spokojnym głosem:

— Dziękuję panu! Dziękuję. Nie ma pan pojęcia, jaką mi pan oddaje tem przysługę. Dzięki panu będę mógł przynajmniej umrzeć spokojnie... Ale nie mam czasu do stracenia. Chcę pana prosić jeszcze o jedno: niech pan będzie łaskaw dać znać szefowi bezpieczeństwa, że muszę z nim pomówić, w bardzo ważnej sprawie.

— Stanie się zadość pańskiemu życzeniu, — odparł poprostu lekarz więzienny.

ROZDZIAŁ XVIII

Prawda o Fabrykancie mumii.

Kiedy pan Ducroc przybył do więzienia koło wieczora, zastał doktora Vanesco w tak opłakanym stanie, iż nie mógł powstrzymać się od wzruszenia. Ale Vanesco ujrzawszy go, opanował osłabienie i zdawał się odzyskiwać dawną energię. Podniósł się przy pomocy felczera na posłaniu i rzekł słabym głosem:

— Proszę mi darować, panie szefie bezpieczeństwa, że pana trudziłem! Pocieszam się, że to czynię po raz ostatni. Dziękuję też, iż pan zechciał mnie wysłuchać. Zdaje mi się, że po rozmowie z panem będę mógł umrzeć spokojnie. Chcę panu zrobić wyznanie wszystkich moich zbrodni.

— Czy nie lepiejby było odłożyć to na później, kiedy pan będzie się czuł lepiej?

— Nie będę się już czuł lepiej, — rzekł Vanesco.

— Jutro już może nie będę w stanie mówić. Dlatego też chcę dzisiaj wszystko wyznać i prosić pana o przebaczenie.

— Ach, naturalnie, przebaczam panu wszystko, — odparł pan Ducroc, wyjmując z kieszeni tabakierkę, bez której nie mógł się obejść w chwilach wzruszających. — Jestem zdania, że nie można niczego odmawiać umierającemu, choćby to był największy zbrodniarz na ziemi... Zwłaszcza, gdy żałuje swych przewinień.

— Dziękuję, — westchnął z ulgą Vanesco i łzy zabłysły mu w oczach. — A teraz, co pan chce wiedzieć?

Pan Ducroc zamyślił się na chwilę, uderzając palcami w tabakierkę; po czem rzekł:

— Przyznaję, że najbardziej mnie zaintrygowało tajemnicze zniknięcie Bridgetona.

— Tajemnicze? — zapytał Vanesco z bolesnym uśmiechem. — Zaraz pan się przekona, że to było niesłychanie proste... A najpierw muszę panu dać wyjaśnienie co do mojej głównej wspólniczki.

— Brunetka z zielonemi oczyma? — zapytał żywo pan Ducroc.

— Tak, nazywała się ona Georgette Lasnier. Była córką Francuza i Niemki, a dzieciństwo swe spędziła w Ameryce. Dlatego też tak dobrze mówiła wszystkimi tymi językami i niepodobna było rozróżnić, który był jej rodowitym. Do Paryża przyjechała ze swą ciotką.

Vanesco zatrzymał się zmęczony.

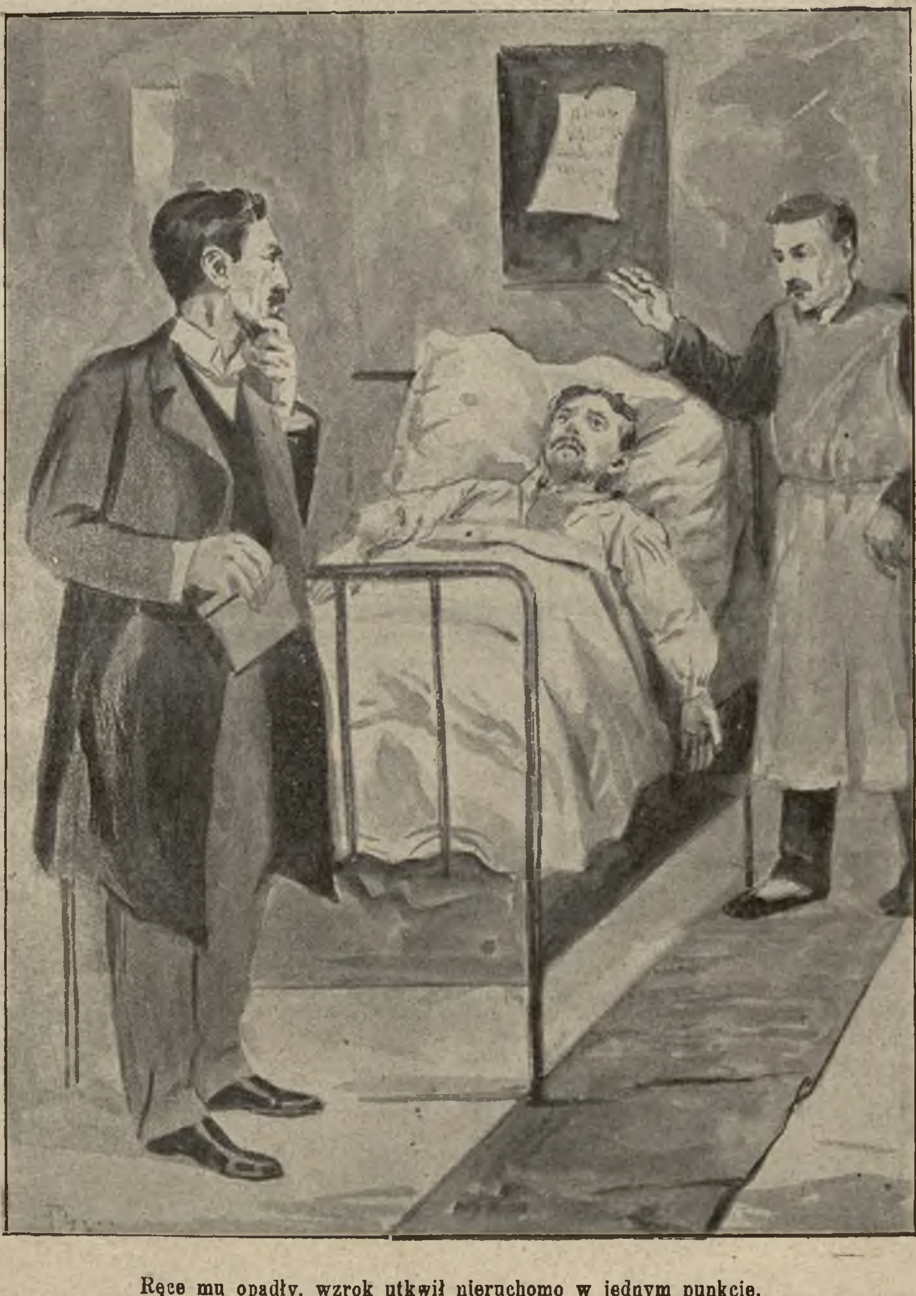
— Niech pan mówi dalej, — rzekł pan Ducroc z niecierpliwością.

— Zaraz po przybyciu do Paryża Georgetta ciężko zachorowała. Wezwano mnie do niej. Przed paru miesiącami właśnie zdałem doktorat; byłem młody — piękność młodej dziewczyny olśniła mnie. Pielęgnowałem ją z całą starannością, a po wyleczeniu poprosiłem o rękę. Zostałem przyjęty z entuzyazmem. Ale ojciec mój w żaden sposób nie chciał się zgodzić, więc wzięliśmy ślub cywilny w Londynie.

Vanesco znowu się zatrzymał, z trudnością łapiąc oddech. Felczer podał mu szklankę z lekarstwem. Chory wypił parę łyków.

— Dziękuję, teraz mi lepiej, — ciągnął dalej. — To mnie zgubiło. Z początku mieszkaliśmy osobno, gdyż obawiałem się, iż moja rodzina dowie się o naszym związku. Jednakże mogliśmy być bardzo szczęśliwi: ubóstwiałem moją żonę, przytem miałem niezłą klientelę, żyliśmy dostatnio. Ale im więcej pieniędzy miałem, tem więcej ich potrzebowałem; przytem byłem graczem; wieczory, a czasem i noce spędzałem w jaskiniach gry. Zacząłem przegrywać. Usiłowałem zwalczyć w sobie tę namiętność, ale nie udało mi się. W tym też czasie zrobiłem pewne odkrycie, które właściwie popchnęło mnie na drogę zbrodni. Zawsze zajmował mnie bardzo hypnotyzm. W żonie znalazłem medyum wprost niesłychane; zacząłem się nią posługiwać dla zdobycia pieniędzy...

— Ale zniknięcie Bridgetona? — zawołał pan Ducroc z niecierpliwością.



Ręce mu opadły, wzrok utkwił nieruchomo w jednym punkcie.

— Przyjdziemy do tego, — odparł Vanesco. — Miałem wspólnika, który jako komiwojażer wynajmował dwa pokoje na piątem piętrze w domu przy ulicy Cambon. Niech się pan spyta odźwierną o pana Brindorge. Myślę, że nie zapomniała o nim, bo to był jej ulubiony lokator. Otóż do mieszkania tego pana przenieśliśmy ciało Bridgetona i tam pozostawiliśmy je, dopóki komisarz nie opieczętował jego mieszkania. Gdy te formalności były już załatwione, przenieśliśmy ciało Bridgetona z powrotem i umieściliśmy je w szafie.

— A, — rzekł pan Ducroc ze skrzywieniem, — więc to tak było! Ale, — zauważył zaraz, — jeśli pan miał taki wpływ na tę kobietę, dlaczegóż ona później...

— Przyszła do pana biura, — zakończył Vanesco. — To bardzo proste. Dzięki jakiemuś nadzwyczajnemu wstrząśnieniu żona moja odzyskała własną wolę. Bezpośrednim powodem tego było, iż zobaczyła w jakiemś piśmie fotografię trupa Bridgetona. Przyszedłem wtedy właśnie do niej; była jak szalona. Wyrwała mi się, skoczyła do dorożki, krzycząc, że jedzie mnie zadenuncyować. Podążyłem za nią, resztę pan wie. Stała się zanadto niebezpieczną. Przeszkodziłem jej mówić i kazałem, żeby połknęła truciznę, którą dałem jej niegdyś i którą zawsze nosiła przy sobie...

Te ostatnie słowa Vanesco wymówił tak cicho, że pan Ducroc raczej domyślił się ich, niż usłyszał. Widać było jednak, iż chce powiedzieć jeszcze coś.

— Ja... — zaczął ze strasznym wysiłkiem. Lecz nie miał już sił skończyć rozpoczętego zdania. Był zupełnie wyczerpany długiem mówieniem.

Podniósł rękę do piersi i zaczął rozdzierać bieliznę.

— Duszę się!.. Duszę się!.. — krzyczał... — Na pomoc! Du...

Raptem uspokoił się. Ręce mu opadły; wzrok utkwił nieruchomo w jednym punkcie; pot zaczął mu ściekać z czoła. Zdawało się, iż ulatuje już ostatnie tchnienie życia. Przyskoczył felczer, chwycił za puls chorego, ale nic nie mógł wyczuć; przyłożył mu ucho do piersi, ale nie słyszał bicia serca. Podniósł głowę, krzywiąc się w sposób nie zwiastujący nic dobrego.

— Czy umarł? — zapytał pan Ducroc przestraszony i zawiedziony zarazem, gdyż spodziewał się usłyszeć więcej interesujących szczegółów.

Felczer pokiwał głową nie odpowiadając, przyłożył do ust chorego małe lusterko. Obejrzawszy je potem starannie, rzekł:

— Nie, ale niewiele mu brakuje i jeżeli pan go chce o co spytać, musi się pan spieszyć, gdyż lada chwila może skończyć.

Mówiąc to nalał do szklanki lekarstwa, otworzył usta chorego i zmusił go do wypicia.

Skutek był nadzwyczajny. Vanesco wstrząsnął się cały, poczem otworzył oczy i spojrzał po obecnych. Wreszcie odezwał się słabym głosem:

— Dziękuję; myślałem, że to już koniec, ale błagam pana, niech mi pan da coś na podtrzymanie sił, bo czuję się zupełnie wyczerpany.

— Chciałbym jeszcze mówić z pół godziny — o nic więcej nie proszę. Pół godziny wystarczy mi.

Gdy felczer zajął się przygotowaniem nowej dozy lekarstwa, chory zwrócił się do pana Ducroc:

— Na czem zatrzymaliśmy się?

— Opowiedział mi pan właśnie przyczynę śmierci kobiety o zielonych oczach... Ale pan jest zanadto osłabiony, nie chcę więc nalegać...

— Nie, nie — zawołał Vanesco w podnieceniu — musi pan wiedzieć wszystko — wszystko panu opowiem. Muszę wszystko wyznać, inaczej nie mógłbym umrzeć spokojnie. Co chce pan wiedzieć teraz?

— W jaki sposób pan dokonywał tych senzacyjnych „zniknięć" z domku przy ulicy św. Jakóba?

— Sebastyan Blanc miał słuszność. Niemiec Leyman był absolutnie niewinny, ślady prowadzące przez jego ogród — ja porobiłem. Co do pani Jude, to była ona istotnie chora na zanik pamięci, ale prócz tego znajdowała się pod wpływem hypnotycznym i najsroższe tortury nie byłyby w stanie zmusić ją do wyznania prawdy.

— Tak właśnie myślałem — mruknął pan Ducroc.

— Może chce pan wiedzieć, w jaki sposób baron Collet, znany z czystości obyczajów — zgodził się na przybycie do tego domku na schadzkę? To także bardzo proste. Baron miał córkę naturalną — do której Georgetta była bardzo podobną. Idąc na schadzkę, przypuszczał, że zobaczy córkę, o której śmierci nie wiedział. Dodam jeszcze, że córka, jak i baron, była Alzatką, to tłumaczy niemiecką rozmowę, którą podsłuchał Staub.

— No, a książe Burg Hausen?

— Książe poznał Georgettę w pewnym domu i od razu zakochał się w niej do szaleństwa. Z początku widywali się w domku w Neuilly, który dla niej wynajął, potem Georgetta wyznaczyła mu schadzkę przy ulicy św. Jakóba.

— Ależ — zauważył pan Ducroc — ten dom był strzeżony przez policyę.

— Ba! jeden ajent, którego wcześniej uśpiliśmy narkotykiem.

— Biedny chłopiec! — pomyślał pan Ducroc, — a ja go posądziłem o pijaństwo.

— To też — ciągnął Vanesco — byliśmy pa

nami sytuacyi. Zaledwie książe wszedł i zamknął za sobą drzwi — dostał ukłucie szprycką Pravatza, napełnioną cyankiem potasu. To samo było ze Staubem.

— A w jaki sposób pan się dostał do tego domku?

— O tem pan wie równie dobrze, jak i ja — przecież Sebastyan opowiedział to panu.

— Sebastyan? — wykrzyknął pan Ducroc w którego umyśle poruszyło się nagle pewne wspomnienie. — Skąd pan wie o tem?

— Podsłuchałem waszą rozmowę w opuszczonym domu przy bulwarze Augusta Blanqui.

— A! — zawołał szef bezpieczeństwa — więc Sebastyan miał słuszność. To skrzypnięcie podłogi na pierwszem piętrze...

— Tak, to ja tam byłem. Udało mi się wówczas — o mało nie wpadłem w pańskie ręce. Schowałem się w kominek i cudem prawie uniknąłem niebezpieczeństwa. Ale ta przygoda przekonała mnie, że Sebastyan był zanadto niebezpieczny i postanowiłem pozbyć go się jak najprędzej. Jak pan wie, — przedtem parę razy darowałem mu życie.

— Z wyjątkiem wypadku w tej knajpie, gdzie pan zastawił na niego pułapkę.

— Tak, chciałem wówczas pozbyć się go, bez przykładania do tego własnej ręki. Ale teraz miałem go już dość. Odkrył sposób otwierania kraty w oknie. A co gorsza był już bardzo blizki odnalezienia podziemnego korytarza.

— Jakto? Więc ten korytarz istnieje naprawdę? — zawołał pan Ducroc z niedowierzaniem.

— Naturalnie.

— W miejscu, które określił Sebastyan?

— Tak jest — w tem samem miejscu — pod kupą węgla.

— Ależ przeszukano całą piwnicę, skopano ziemię i nic nie znaleziono.

— Bo otwór korytarza zamurowałem przy pomocy cementu, który w dodatku zmieszany był z pyłem węglowym, tak, że nie widać było koloru.

— I pan sam podołał takiej pracy?

— Nie — pomagał mi Sebastyan.

— Sebastyan?

— Tak, zahypnotyzowany. Przytem otwór nie był wielki — miał średnicy 90 centymetrów, a około dwu metrów głębokości. Załatwiliśmy się z tą pracą w przeciągu jednego popołudnia.

— Dobrze! — odparł pan Ducroc — ale jednej rzeczy nie rozumiem. W jaki sposób węgiel, który maskował otwór korytarza — mógł być ułożony zawsze jednakowo?

— Ach, nic prostszego. Sebastyan wspominał panu, że kawałki węgla były sklejone ze sobą. Z chwilą, gdy stwierdził to — odkrył połowę sekretu. W rzeczywistości — cała kupa węgla stanowiła jedną masę, którą można było podnieść, gdy trzeba było odsłonić otwór korytarza — i opuścić potem na miejsce tak, że ani jeden kawałek nie odpadł.

— Jednakże jeden człowiek nie był w stanie podnieść takiego ciężaru...

— To też czyniło to się przy pomocy lewara z korbą...

— A, tak! — rzekł pan Ducroc, dla którego każde zdanie opowiadającego było niespodzianką. I dodał — z rosnącem wciąż zaciekawieniem:

— A gdzie się kończył ten korytarz podziemny?

— W piwnicy szpitala barona Colleta, akurat pod mojem laboratoryum...

— Ależ lecznica Colleta oddalona jest od domku przy ulicy św. Jakóba o jakie pięćdziesiąt metrów.

— Pięćdziesiąt dziewięć, ściśle biorąc.

— Więc w jaki sposób wykopał pan korytarz takiej długości nie zwracając niczyjej uwagi?

— Nie mogę przecież przypuścić, że pan sam dokonał tej pracy!

— Nie potrzebowałem czynić tego. Korytarz ten istnieje oddawna.

— Istnieje oddawna?

— Tak, panie szefie bezpieczeństwa. Przecież musi pan wiedzieć, że ta właśnie dzielnica Paryża posiada całą sieć korytarzy podziemnych.

— Rzeczywiście! — zawołał pan Ducroc, zawstydzony. — W jaki sposób Sebastyan, który myślał o wszystkiem — przeoczył to?!

— Niech pan będzie pewny, że wiedział o tem, — odparł Vanesco — tylko nie mówił tego panu. Ja oddawna przypuszczałem istnienie tych przejść podziemnych, a z chwilą gdy je odkryłem, nie miałem już wiele do roboty.

Vanesco zamilkł i chciwie wypił lekarstwo, które podał mu felczer. Był bardzo blady, obfity pot pokrywał mu czoło — widać było, że nadludzkim wysiłkiem woli opanowuje osłabienie.

Pan Ducroc siedział bez ruchu, przypatrując się choremu z głęboką litością, i nie śmiąc zadać mu ostatniego pytania, które piekło mu wargi. Jednakże Vanesco, po wypiciu lekarstwa, nabrał sił i jakby odgadując pragnienie szefa bezpieczeństwa, zapytał:

— Chce mi pan zadać jeszcze jakie pytanie? Niech pan mówi prędko — bo czuję, że koniec już blizki i wkrótce nie będę mógł mówić.

— A więc — wyjąkał pan Ducroc — co pan uczynił Sebastyanowi?

Twarz umierającego skrzywiła się boleśnie. Zakrył oczy ręką, jak gdyby chciał zasłonić się od widoku, jaki wywołały w jego wspomnieniach słowa pana Ducroc.

— Ach, panie szefie bezpieczeństwa — rzekł z głębokim smutkiem, z trudnością wymawiając słowa — to moja największa zbrodnia, której sobie nigdy nie przebaczę. Przysiągłem sobie, że zabiję Sebastyana. Czemuż nie uczyniłem tego! A ja doprowadziłem go do utraty zmysłów, nieszczęśliwca. I co jest najstraszniejsze, to to — że zdaje sobie sprawę ze swego stanu, a nie może wyrazić tego.

— Ależ — przerwał z niepokojem pan Ducroc — nauka jest potężna — pańska wiedza jest olbrzymia — i pan, który dokonał tej zbrodni — czy pan nie zna środka, któryby mógł ją naprawić?

— Niema... niema na to żadnego środka... Mózg Sebastyana jest pozbawiony oryentacyi na zawsze... Ten cudowny mechanizm jest zepsuty i nikt nie jest w stanie na......

Nie dokończył — rozpoczęte słowo przeszło w rzężenie. Schwycił go śmiertelny kurcz. Zamknięte przed chwilą oczy — otwarły się szeroko i pozostały nieruchome, straszne.

— Umarł? — zapytał szeptem pan Ducroc.

— Umarł... — odparł felczer.

Szef bezpieczeństwa patrzył przez długą chwilę na tego, który mu tyle sprawił trudów, kłopotów i zgryzot, poczem pochylił głowę, czcząc tem majestat śmierci i wyszedł.

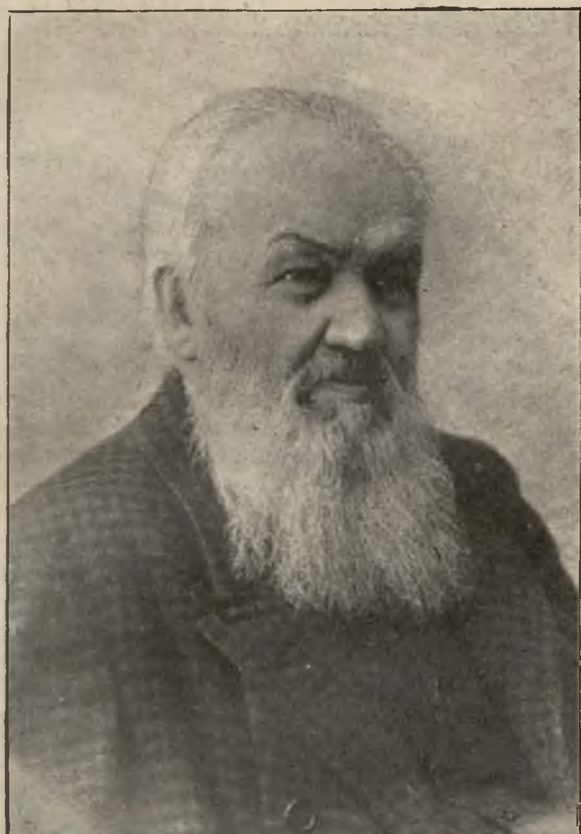
Pomimo wzruszeń, jakich doznał podczas opowiadania doktora Vanesco — powracał teraz do swego biura spokojny: *Fabrykant mumii nie żył!*

KONIEC.

Smierć wroga Polaków.

W Petersburgu zmarł w sędziwym wieku Aleksy Suworin, wydawca „Nowego Wremieni“. Nazwisko jego i organ, który wydawał, są zbyt dobrze znane, ażeby potrzeba było szerzej się rozwodzić nad rolą, jaką Suworin odegrał w Rosyi.

Syn biednego włościanina, nabył w r. 1877 za tanie pieniądze mały dzienniczek, z którego uczynił potęgę. Powodzenie swe oparł na schlebianiu nacyonalistycznym instynktom tłumu i wyczuwaniu



Śmieré wroga Polaków: Zmarły w Petersburgu Aleksy Suworin, właściciel „Now. Wremieni“.

powiewów z góry... Zwłaszcza zaciekła walka z „obcoplemieńcami“, a w szczególności Polakami — okazała się bardzo popłatną...

Wydawca „Now. Wremieni“ zdobywał wpływy i majątek...

Umierając, pozostawił 4 miliony w gotówce, trzy duże majątki ziemskie i kamienicę w Petersburgu. Nieźle więc zarobił na walce z Polakami.

Jubileusz króla bułgarskiego.

W ubiegłym miesiącu historyczna stolica Bułgaryi, Tirnowo, była świadkiem wielkich uroczystości.



Jubileusz króla bułgarskiego: Królewska rodzina bułgarska na nabożeństwie jubileuszowem w Tirnowie.

Car Bułgarów, Ferdynand I, święcił 25-letni jubileusz objęcia rządów w kraju.

Uroczystość rozpoczął wspaniały wjazd króla bułgarskiego do prastarej stolicy Tirnowo w otoczeniu generałów i olbrzymiej świty. Na drugi dzień ogromne tłumy ludności składały hołd władcy i uczestniczyły w uroczystościach dworskich i wojskowych.

Król, bułgarski Ferdynand, został powołany na tron przez wielkie zgromadzenie narodowe w r. 1887. Mimo, iż wybór jego nie został potwierdzony przez Wysoką Portę, nowy władca złożył przysięgę na konstytucyę i objął tron, przybierając imię Ferdynanda I. W r. 1896 potwierdziła Turcya specyalnym firmanem władzę nowego monarchy i oddała mu zarząd wschodniej Rumelii. W roku 1908 król Ferdynand ogłosił swoje królestwo niezawisłem. Mimo wielkich trudności politycznych udało mu się w roku 1909 uzyskać potwierdzenie i uznanie niezawisłości przez wszystkie mocarstwa.

Przewrót ten przeprowadzony został zupełnie spokojnie i stanowi największy czyn króla Ferdynanda.

Teatr Turskiego na prowincyi.

W tych dniach wyruszyła z Krakowa na objazd po Galicyi trupa, zorganizowana przez znanego aktora, p. Stefana Turskiego. Wobec braku dobrego teatru na prowincyi wyprawa ta stanowić będzie miłą niespodziankę. Pan Turski już raz przedsiębrał tournée artystyczne po Galicyi, wystawiając „Krowoderskich Zuchów“, a wyprawa ta spotkała wszędzie chętną gościnę i widzów. Skład personalu teatru, który obecnie w świat ruszył, jest następujący: panie: Grabowska, Welichowska, Mrozowicka, Milska, Kuźniewiczowa, Krzewińska, Węglowska, Nowaczyńska, Żelska, Wiślicka; panowie: autor Turski (reżyser), Orwid, Szkudelski, Horski, Motyczyński, Bienin, Kuźniewicz, Biesiadecki, Byszczyński, Łętowski, Szczęsny, Wiślicki.

W najbliższym czasie teatr Turskiego da szereg przedstawień w Bochni, Brzesku, Tarnowie, Rzeszowie, Łańcucie, Strzyżowie i Nowym Sączu, poczem ruszy dalej ku Galicyi wschodniej. Grane będą cztery sztuki, napisane przez p. Turskiego: „Krowoderskie Zuchy“, „Synowa ze suteryn“, „Kolporter“ oraz „Przedmiejskie zalecanki“.

Illustracya nasza przedstawia członków teatru Turskiego przed wyjazdem z Krakowa z autorem i kierownikiem, p. Turskim, w pośrodku.



Z republiki chińskiej: Prezydent republiki chińskiej, Juan-szi-kaj, z swym europejskim doradcą, dr. Morisonem.



Z wystawy w Staszowie: Inż. Stanisław Karpowicz z Rytwian, odznaczony za wspaniałe zbiory entomologiczne.

(Fot. M. Fuks, Warszawa).

Od Wydawnictwa!

Nadzwyczajne wydanie „Nowości Illustrowanych“, poświęcone obrazowemu przedstawieniu **rozwoju naszego przemysłu fabrycznego w Zagłębiu Krakowskiem,** ukaże się w pierwszych dniach zjazdu techników. Zeszyt **bogato illustrowany** obejmować będzie **opisy większych fabryk** i przedsiębiorstw technicznych w całem Zagłębiu, dając tem samem doskonały obraz, co pod względem przemysłowym u nas zrobiono.

Specyalnie zostanie przygotowana odpowiednia ilość egzemplerzy tego numeru dla wręczenia ich uczestnikom wycieczki ministeryalnej, która 19 b. m. do Galicyi przybywa.

W wydaniu numeru biorą udział przedsiębiorstwa miejskie, szereg fabryk podgórskich i z Zagłębia Krakowskiego.

Kronika tygodniowa.

Zapewne nikt z Szanownych Czytelników się nie zdziwi, że pierwszą kronikę wrześniową rozpocznę od szkoły, przedtem jednak, nawiązując do zeszłotygodniowej, zaznaczę, że ów pan radca miejski o którym wspomniałem, nie jest radcą w czynnej służbie, posiada jedynie „tytuł i charakter“, gdyż przed laty obywatele obdarzyli go swem zaufaniem i posadzili na fotelu w pałacu Wielopolskich, gdzie przez sześć lat siedział cierpliwie i ani razu nie zabierał głosu. Odtąd tytułujemy go wszyscy „radcą“, bo któż wreszcie w Krakowie nie używa tego tytułu? Bodaj radca „od dziadów“, ale w każdym razie radca. Kto nim zresztą dotąd nie jest, może być w najkrótszym czasie.

Najpiękniejszym przykładem krakowskiej radcomanii jest pan radca Kłaczek z „Krowoderskich zuchów“...

Poruszam zaś tę kwestyę z tego powodu, iż w ostatnich dniach ubiegłego tygodnia otrzymałem dwadzieścia siedm poufnych listów od różnych pań radczyń, które zaklinają mnie na wszystkie świętości, bym opublikował nazwisko tego obrzydliwego wiarołomcy.

Niestety, nie mogę zadość uczynić ich życzeniu, a to z tego powodu, iż sprawę tę okrywa tajemnica redakcyjna, a zresztą... ciekawość pierwszy stopień do piekła, a ja życzyłbym łaskawym paniom, by się wszystkie znalazły w niebie i to, jeśli nie zaraz, to bodaj po najdłuższem życiu!

Także panu interpelantowi z Iwonicza, który poucza mnie, skąd się w Galicyi wzięli Ukraińcy, nie mogę odpowiedzieć, tak, jak się należy, zaznaczę tylko, że zapatrujemy się na tę sprawę z wprost przeciwnych punktów, wobec czego nie dojdziemy nigdy do porozumienia. Ponieważ zaś wykalkulowałem z tonu kartki, iż pan ten jest Rusinem, a ja, jako zdeklarowany zwolennik zgody obu narodowości, kraj nasz zamieszkujących, nie chciałbym go niepotrzebnie drażnić, przechodzę więc nad tem do porządku dziennego.

Co do tej szkoły, o której na wstępie wspomniałem, to mam na myśli dwie sprawy, jedną, dotyczącą podręczników naukowych, drugą przenoszenia nauczycieli w okresie wakacyjnym.

Niebiosa nie obdarzyły mnie wprawdzie potomkami płci męskiej, choć gorąco tego pragnąłem (teorye dra Schenka i Ciesielskiego były wówczas jeszcze nieznane), natomiast przyjaciel mój, mieszkający na prowincyi, a nie mogący osobiście zjechać do Krakowa, uprosił mnie, bym zajął się jego synem, uczęszczającym tutaj do szkół średnich. Pełnię też z całem oddaniem się zastępczo funkcye ojcowskie, do nich należy między innemi wysłuchanie codzienne sprawozdania, co słychać w szkole...

Otóż, nie dawniej, jak wczoraj, przychodzi do mnie malec i melduje posłusznie, że potrzeba mu takich a takich książek, gdyż nauka, jak to powiadają „regularna“, już się rozpoczęła.

Idziemy więc do księgarni i tutaj dowiadujemy się, że te podręczniki są, tych zaś brak.

— Hm! Dziwię się bardzo, że panowie nie zaopatrzycie się na czas! Wiecie przecież, jakie książki są przepisane — robię skromną uwagę.

— Tak jest — odpowiada księgarz — wiemy! Ale to jest zupełnie nowe wydanie, które jeszcze nie opuściło prasy drukarskiej!..

Otóż w tem sęk!

Rada szkolna krajowa słynie już z tego, że lubi bardzo często zmieniać podręczniki, na czem najgorzej wychodzą rodzice, mający kilku synów, a nie mogący użyć książek starszego dla młodszego. Jeżeli jednak jest to koniecznem i pedagogicznie wskazanem, należy się postarać, aby nakład gotowy był na początek września... Bo, proszę sobie wyobrazić kłopoty biednego chłopaka, który przychodzi do szkoły bez podręcznika i nieraz skutkiem tego oberwie nawet dwóję.

Za moich czasów taka gramatyka łacińska lub grecka wystarczyła na całe gimnazyum, a te same np. wypisy polskie utrzymywały się w jednej klasie przez dwadzieścia kilka lat.

Dziś zupełnie się zmieniło, co rok to prorok, czyli nowe wydanie tego lub owego podręcznika, a na tem wychodzi najgorzej sama nauka, a cierpią uczniowie i to zupełnie niewinnie.

Rada szkolna krajowa jest instytucyą, która jak najmniej powinna się kierować biurokracyą, a tak nie jest.

Drugi punkt mojego porządku dziennego dotyczy sprawy przenoszenia nauczycieli szkół średnich w okresie wakacyjnym.

Prawda, że w tym czasie mają we Lwowie najwięcej roboty, ale i to prawda, że sprawę tę, właściwie najważniejszą, odkłada się zawsze na ostatnią chwilę i główną seryę mianowań i przeniesień ogłasza dopiero w ostatnich dniach sierpnia.

A tu trzeciego września, a nawet wcześniej, trzeba być na miejscu, przeniesiony dajmy na to z Krakowa do Kołomyi...

Wysoka Rada szkolna krajowa jest też bardzo hojną i na koszta przeniesienia asygnuje zastępcy nauczyciela aż „pięćdziesiąt koron“ z których złożysz pan do dni czternastu rachunek...“ Kończy się na tem. że trzeba jeszcze zwrócić skarbowi państwa prawie połowę z tej śmiesznie małej kwoty. Sfery miarodajne są tego zdania, że młody, nieegzaminowany, albo egzaminowany, ale nie mający jeszcze stałej posady pedagog: 1) nie powinien być żonaty, ani dzieciaty, 2) majątek jego powinien się składać, co najwyżej, z parasola i pudełka na kołnierzyki.

Byłoby bardzo wskazanem, aby panowie referenci tego działu przeniesieniowego i mianowań po spieszyli się nieco i bodaj w ostatnich dniach lipca ogłosili listę szczęśliwców, by im zostawić choćby miesiąc czasu na uporządkowanie swych spraw do czasnych i wystaranie się o flotę. Trudno przecież nawet przypuścić, by pięćdziesięciu koronami można było opędzić koszta przeniesienia, jeśli się ma żonę, dwoje choćby tylko dzieci i trochę innych gratów...

Panowie ze złotymi kołnierzami, rezydujący we Lwowie u wielkiego ołtarza zupełnie inaczej zapatrują się na kwestyę likwidowania kosztów podróży, jeśli to dotyczy ich czcigodnych osób.. Ale, co pan radca, to nie jakiś tam marny suplencina, który po winien być kontent i podskakiwać z radości, jeśli pan c. k. etatowy tercyan gimnazyalny raczy mu się najmitościwiej odkłonić...

Z kolei rzeczy muszę poświęcić kilka słów polityce ze względu na dość ważne kwestye, które specyalnie dotyczą nas w własnych naszych osobach i świadczą, aż zanadto dosadnie, że Koło Polskie we Wiedniu straciło już swe dawne znaczenie.

Swojego czasu, gdy baron Heinold postarał się o owo orędzie do Rusinów, które narobiło tyle wrzawy w całym kraju, Koło Polskie zaczęło kiwać palcem w bucie, sądząc, że ekscellencya przestraszy się, wytłumaczono mu jednak, że nie powinno się gniewać.

Uwierzyło i uspokoiło się.

Tymczasem, jak piorun z jasnego nieba spada wiadomość, że prawdopodobnie hr. Stürgkh przejdzie ze względu na swe zdrowie w dobrze zasłużony stan spoczynku, a spadek po nim dostanie się nikomu innemu, tylko właśnie panu Heinoldowi.

Byłby to nowy blamaż dla Koła i nowa klapa, polityczy polscy zjechali też do Wiednia, aby za pośrednictwem ministra Bilińskiego poczynić starania, by przyjaciel barona Wassilki nie został powołanym na prezydenta gabinetu.

Druga kwestya dotyczy owych nieszczęsnych kanałów, o których akurat wiemy tyle na pewno co i o kanałach... na Marsie!... Przed dziesięciu laty obiecano je Galicyi jako rekompensatę za budowę alpejskich kolei. Z czasem przekonano się jednak, że plan wykonać się nie da.

Koło Polskie zaczęło się burzyć, a że wówczas potrzebował go Wysoki Rząd, zaczęto się oglądać za funduszami, a ówczesny prezes Koła. dr. Biliński, wyrzekł te pamiętne słowa: *Ich muss meinen ersten Spatenstich haben!..*

I odbyła się komedya rozpoczęcia robót w Brzeżnicy, ale pod złą wróżbą, zapadła się bowiem podłoga jednej trybuny, poczem, jako iż była to zima, odłożono wszystko do wiosny.

Dziś, dowiadujemy się nowej, a zgoła niespodziewanej nowiny!... Pieniądze na roboty już są, postanowiono jednak, że największe trzy objekty nie będą budowane nowoczesnym systemem żelaznobetonowym, ale sporządzone w hutach witkowickich.

Dzieje się to dlatego, że, po pierwsze nie wypada, aby rząd zbytnio okazał się postępowym, zwłaszcza, że już ś. p. Napoleon miał powiedzieć, iż Austrya się zawsze spóźnia, po drugie zaś, zamknie się w ten sposób gębę milionerom niemiecko-żydowskim, którzy cały dochód, jaki kraj mógłby mieć z kanałów, schowają z przyjemnością w swej przepaścistej kieszeni...

LEON SAZIE.

ZIGOMAR

STRASZLIWY BANDYTA.

7

Ulica ta jest zazwyczaj zatłoczona wozami ciężarowymi, dorożkami, automobilami, wózkami ręcznymi... W domach położonych przy niej znajdują się liczne magazyny, składy, pracownie. Kilka firm angielskich sprzedaje porcelanę i wyroby srebrne do użytku stołowego; inne znów niemieckie ciężkie, niezgrabne wyroby fajansowe opatrzone jednak etykietą: „Made in England". Spotykamy tu kilka kawiarni i restauracyi o charakterze i nazwach egzotycznych. W środku znajduje się szynkownia znana pod nazwą Szynkowni Luksemburskiej.

Jest to kawałek Germanii w sercu Paryża.

Grube filary, pomalowane na biało wapnem podtrzymywały sklepienie, z którego zwieszały się ciężkie żelazne świeczniki. W łukowych, wysokich oknach błyszczały kolorowe szyby. Wielka sala była podzielona na kilka jakby saloników, z których każdy naśladował urządzeniem sławne piwiarnie niemieckie.

Codzień wieczorem sala wypełniała się Niemcami, którzy tam spieszyli ze wszystkich zakątków Paryża. Tam załatwiali swoje sprawy, szukali służby lub jakiegoś zajęcia.

— Byłem właśnie na ulicy de Paradis, — opowiadał Firmin, — przekupień, którego śledziłem, podchodził do drzwi szynkowni Luksemburskiej, gdy raptem usłyszałem jakieś krzyki za sobą... Instynktownie odwróciłem się i w tej chwili uczułem straszne uderzenie w plecy... To jakaś paka, którą ładowano na wóz upadła i przytem ugodziła we mnie.

Paulin Broquet przerwał mówiącemu.

— To wystarcza, mój chłopcze, — chwycono cię w zastawioną łapkę. Trzeba przyznać, że nieprzyjaciele nasi są dobrze zorganizowani.

— Tak, panie. Przepraszam bardzo, że nie wypełniłem pańskiego polecenia. Uderzenie było tak silne, że upadłem bez zmysłów na ziemię. Cudem jakimś nie straciłem życia... Zaprowadzono mnie do apteki, gdzie mi obandażowano głowę. Gdy przyszedłem nieco do sił, było już zapóźno, abym mógł prowadzić dalsze poszukiwania.

— O, to byłoby niepotrzebne mój chłopcze, spełniłeś w zupełności moje polecenie; wiem wszystko, co mi było potrzebne; dziękuję ci, idź odpocząć teraz.

— O, nie, panie! Mam jeszcze sił dużo; może będę potrzebny.

— Idź, idź! Jeżeli będziesz potrzebny, to ci dam znać.

Uścisnął mu rękę i zwracając się ku Mapipowi, zapytał:

— Zdobyłeś Fritza? Doskonale. Ładny pies, oczy ma żywe i intelligentne... Zajmijmy się nim teraz. Biegnij do apteki i kup mi butelkę wody utlenionej.

Po wyjściu ajenta Paulin Broquet wziął z szuflady biurka duże nożyce i zaczął z wielką zręcznością strzydz sierść psa.

Ostrzygł go całego pozostawiając tylko niewielkie kępki włosów na końcu ogona, łap i wokół szyi.

Trudno było poznać teraz psa; zmienił się do niepoznania.

Gdy Mapipe wrócił z żądaną wodą, Broquet umoczył w niej kawałek waty i zaczął nacierać psa.

Po chwili biedny Fritz stał się z czarnego rudym.

— No, — rzekł uśmiechając się detektyw, — teraz to nawet pan Schmitt nie pozna psa, którego ofiarował jako symbol wierności swej narzeczonej.

Poczem dodał:

— Weź go z sobą i trzymaj, póki go nie zażądam.

ROZDZIAŁ XIX.

Paulin Broquet udał się następnie do szefa bezpieczeństwa, który go zaprowadził do prefekta policyi. Mr. Laronce oczekiwał z niecierpliwością na detektywa, aby usłyszeć coś od niego o panu Schmitt, którego aresztowania żądał.

Paulin Broquet w paru słowach opowiedział mu o wszystkiem.

— Schmitt, — mówił, — jest jednym z najzręczniejszych szpiegów operujących we Francyi. Jestem przekonany, że to on dostał się do gabinetu ministra i robił zdjęcia fotograficzne. Mam nadzieję, że jeszcze klisze nie są wywołane; myślę, że nie pozostanie z niemi w Paryżu, ale będzie starał się uciec zagranicę.

— Trzeba obsadzić ajentami naszymi wszystkie dworce kolejowe, — rzekł prefekt.

— O, myślę, panie prefekcie, że to jest chyba nie potrzebne. Schmitt, przypuszczając, że pan to uczyni, nie wsiądzie do pociągu nawet w przebraniu na żadnym z dworców kolejowych w Paryżu. Raczej użyje do ucieczki automobilu, kierując się na zachód, lub południe, do Hiszpanii, Dieppe lub do Boulogne.

— To prawda, ma pan słuszność. Każę więc pilnować wszystkich pogranicznych stacyi.

— Myślę, że to będzie najlepsze. Ja z mojej strony przeszukam wszystkie hotele i szynkownie, w których zbierają się cudzoziemcy. Ajenci moi będą mi w tem pomagali i jeżeli Schmitt jeszcze się ukrywa w Paryżu, to go musimy wytropić.

Po chwili dodał:

— Mam parę fotografii Schmitta... Oto one...

— Doskonale, — rzekł prefekt, — każę je zaraz odfotografować i rozdam egzemplarze policyantom... Dodam im przytem rozkaz aresztowania i każę pilnować zbrodniarza, aby nam nie uciekł. Obyśmy tylko zdążyli.

— Jest to bardzo ważne, — rzekł Paulin Broquet, — Schmitt należy do bardzo niebezpiecznych wrogów. Zna dużo naszych tajemnic państwowych i w każdej chwili może je zdradzić; trzeba go pochwycić koniecznie.

— Zrobi się wszystko, co jest w mocy ludzkiej, — powiedzieli jednocześnie szef bezpieczeństwa i prefekt policyi.

Przyczem pierwszy z nich wyszedł, aby kazać odfotografować natychmiast podobizny Schmitta, drugi zaś zwracając się ku detektywowi, zapytał:

— Co pan ma zamiar teraz robić, kochany panie Broquet?

— Idę zbadać, kto ukrywa się pod peruką i wąsami naśladującemi James Benamol'a, gdyż tu mamy do rozstrzygnięcia również ciekawą zagadkę.

— Jaką, panie Broquet?

— Jestem najmocniej przekonany, iż ten zamordowany człowiek należał także do licznych szpiegów, którzy wprost zalewają Paryż, Francyę całą. Myślę, iż to był pomocnik, a może nawet przyjaciel Schmitta; razem prawdopodobnie robili zdjęcia fotograficzne. Wczoraj jeszcze pracował nad tem... Proszek magnezyowy, pokrywający włosy peruki, dowodzi nam tego. Otóż muszę się dowiedzieć, dlaczego to indywiduum przebrało się za James Benamo'a i było u niego, poddanego angielskiego, bankiera paryskiego, i korespondenta pism zagranicznych?..

— To ciekawe, rzeczywiście.

— Muszę się dowiedzieć, dlaczego został w końcu zabity u człowieka, którego naśladował. Czy ludzie mordujący go, mieli go za bankiera, czy też za człowieka, którym był w istocie.

— No dobrze, mój kochany przyjacielu, — zawołał Mr. Laronce, wkładając na głowę kapelusz i biorąc w rękę laskę, — lecz jakże ty z tego wszystkiego wybrniesz, jak rozplączesz tak zawikłaną sprawę?

— Myślę, — odpowiedział Paulin Broquet, — że jeżeli dowiem się, kto jest człowiek zamordowany, to będę miał klucz do tej zagadki.

— Miejmy nadzieję. A teraz chodźmy wobec tego do Morgi.

Przed odejściem Paulin Broquet zatelefonował do swego biura, aby mu przyniesiono jego aparat fotograficzny.

W kilka chwil później, wsiadał z prefektem do powozu, aby się udać do Morgi.

Gdy wychodzili z powozu, Paulin Broquet spostrzegł przed oknem Morgi grupę osób, złożoną z przechodniów, paru włóczęgów i kilku turystów, którym przewodnik z ajencyi Poola pokazywał osobliwości miasta. Pomiędzy turystami dostrzegł detektyw Japończyka.

. . . .

Widząc to, zauważył w duchu:

— Spotykam dziś jakoś wyjątkowo wielu Japończyków.

Nie przywiązując jednak większej wagi do tego, wszedł za prefektem do gmachu Morgi. Ciało zamordowanego przeniesiono już tam i umieszczono w sali. Lekarz, który skonstatował śmierć na miejscu spełnienia zbrodni, przyszedł również i oczekiwał na prefekta policyi.

Paulin Broquet zażądał, aby wszyscy obecni poza prefektem i lekarzem, oddalili się.

Gdy to uczynili, zamknął za nimi drzwi na klucz i rzekł, zwracając się do doktora.

— Myślę, że chyba nie potrzebne jest przypominać panu, iż od tej chwili wszystko, o czem się będzie mówiło, ma pozostać w tajemnicy.

— Ma się rozumieć.

Poprosiwszy prefekta policyi i lekarza, aby usiedli, Paulin Broquet zbliżył się do marmurowego stołu, na którym złożono zamordowanego. Z wielką zręcznością zdjął pieczęcie, sprawdziwszy wpierw, czy nie były naruszone, poczem zdjął taśmy, któremi obwiązał głowę tajemniczego człowieka. Wtedy podał prefektowi jedną z fotografii, zabranych u Schmitta.

— To jest portret James Bernamola, — rzekł. — Proszę, niech panowie się przypatrzą, jak doskonale ten trup jest ucharakteryzowany. Podobieństwo do bankiera jest nadzwyczajne!

— Rzeczywiście, — potwierdzili, — zupełnie ta sama głowa, rysy, wszystkie szczegóły! To jest wprost niesłychane!

Paulin Broquet nastawił aparat fotograficzny i poprosiwszy doktora, aby podtrzymał trupa, zdjął go z różnych stron. Jedna z klisz była zupełnie podobna do fotografii bankiera, którą trzymał w rękach prefekt.

Uczyniwszy to detektyw rzekł:

— Teraz trzeba zdjąć perukę i zobaczyć, jak wygląda naprawdę ten człowiek. Może między fotografiami zbrodniarzy na policyi znajdziemy jego podobiznę... Wtedy, wiedząc z kim mamy do czynienia, łatwiej będziemy mogli wykryć całą tę bandę szpiegowską i uwolnić w końcu Francyę od tej klęski. W szczególności musimy schwytać tego największego nędznika Schmitta...

To mówiąc Paulin Broquet zerwał sztuczne włosy z trupa.

Z pod peruki ukazały się rudawo-blond włosy, rude wąsy, rude brwi.

Gąbką zmoczoną w spirytusie zmył detektyw farbę z twarzy i powrócił jej naturalny wygląd.

Wtem jeden okrzyk wydarł się z piersi wszystkich zebranych:

— Schmitt!..

ROZDZIAŁ XX.

Gdy pierwszy poryw zdumienia przeszedł, na twarzy Brcqueta zjawił się uśmiech. Uśmiech ten widać było zawsze, gdy zamierzał zadać cios swemu przeciwnikowi. Dla tego, co go znał, ten uśmiech był straszny; zapowiadał zawsze walkę straszną na śmierć lub życie.

Stał milcząc i wpatrywał się w trupa, któremu wydarł jego tajemnicę. Lecz odkrycie tej tajemnicy burzyło wszystkie jego plany i cały gmach przypuszczeń i domysłów.

Rozliczał, że gdy odkryje, kim jest zamordowany, tem samem znajdzie drogę do odnalezienia Schmitta i reszty zbrodniarzy. Lecz człowiek, leżący przed nim, był właśnie tym Schmittem!.. Schmittem!..

— Dobrze, — odezwał się w końcu, — nie mamy tu nic więcej do roboty. Doktorze, ten trup należy do pana; proszę z nim czynić, co zazwyczaj w takich razach.

Zupełnie spokojnie, doskonale panując nad sobą, zebrał perukę i wąsy służące do przebrania Schmitta, zawinął je w czarne sukno do fotografowania i zabierając swój aparat, dodał:

— Jeżeli pan nic nie ma przeciwko temu, panie prefekcie, to możebyśmy poszli.

Gdy znaleźli się znowu w gabinecie prefekta, poprosił go, aby zatelefonował do szefa bezpieczeństwa i cofnął rozkaz odbijania fotografii z podobizny Schmitta. W parę chwil później nadbiegł Mr. Rhamard, szef bezpieczeństwa.

— Czy zaszło co nowego? — zapytał.

— Moi panowie, — zaczął Paulin Broquet, — sprawa komplikuje się bardzo. Nić sprawy, którą zdołałem z taką trudnością odnaleźć, znowu wymknęła mi się z dłoni...

Wiedzą już panowie, o co głównie chodzi: W gabinecie ministra spraw wewnętrznych sfotografowano niesłychanie ważny dokument. Kliszę tej fotografii znalazłem w mieszkaniu niejakiego Schmitta, gdzie także widziałem kilka manekinów, jeden z nich miał maskę człowieka...

Paulin Brcquet zamilkł na chwilę, poczem dodał:

— Nie żądajcie, panowie wyjaśnień co do tego człowieka. To co przypuszczam, jest tak niesłychane, niespodziewane i zarazem tak poważne, że muszę to sprawdzić, przekonać się na własne oczy, zanim wymówię to nazwisko...

Prefekt i szef bezpieczeństwa krzyknęli jednocześnie:

— On?

Detektyw spojrzał na obu urzędników i nic nie odpowiedział.

Po chwili ciągnął dalej:

— Prosiłem pana prefekta o aresztowanie Schmitta... Jak panowie wiedzą — nie był on dziś w prochowni. Jestto zresztą zupełnie zrozumiałe. Człowiekiem zamordowanym dziś w mieszkaniu James'a Benamol'a, a ucharakteryzowanym jako ten sam Benamol — jest właśnie Schmitt!

— Schmitt! — zawołał szef bezpieczeństwa.

— Schmitt?

— Tak jest — niepodobna się mylić. Schmitt wymknął się nam, zarówno, jak i On! Nadzieje moje, przypuszczenia, obliczenia zawiodły mnie. Zostałem pobity.

— Pan pobity? — rzekł prefekt. — Pan — przy swoim talencie, przy swojej energii...

— Dziękuję, panie prefekcie, za te słowa uznania. Ale, niestety, mam za mało czasu. Każda chwila przynosi stratę. Fotografia traktatu dardanelskiego zbliża się do granicy. I nie jesteśmy w stanie przeszkodzić temu. Kogo mamy podejrzewać? Kogo aresztować? Kto jest teraz posiadaczem tej fotografii? Wszystko trzeba zaczynać na nowo! Wszystko! A czasu mamy tak niewiele...

— Może — rzekł prefekt, chcąc dodać otuchy detektywowi — może mamy większe szanse, niż przypuszczamy.

— Jakie szanse, panie prefekcie? O jakich szansach może być mowa? Pan sam, jako prefekt policyi — może wiedzieć najlepiej; na co możemy liczyć! Na przypadek!

Paulin Brcquet podrapał się w głowę i mówił dalej:

— Przedewszystkiem chciałbym wyjaśnić kwestyę, czy to Schmitt robił zdjęcia w gabinecie ministra?

— Znalazł pan przecież w jego mieszkaniu kliszę.

— Mogli mu ją dać tylko do przechowania.

— Rzeczywiście.

— Dalej — chciałbym się dowiedzieć, dlaczego Schmitt fotografował nie u siebie w domu, lecz w biurze Benamol'a. I dlaczego ucharakteryzował się za Benamol'a? Wreszcie ostatni punkt: czy zamierzano zabić Schmitta, czy też samego Benamol'a.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zagadki do nagrody.

Zadanie konikowe.

Ułożył J. Szymanek, Nowy Sącz.

mi	śpie	na	zwisł	o	spo	ką	wo
nie	u	zie	o	czy	dę	chło	kój
wa	pieśń	dła	dla	by	w twem	o	miar
si	bie	czy	o	w drob	brą	fork	dy
ku	po	sisz	gdy	czek	ziarn	gnisz	do
o	jak	necz	tał	czy	re	sko	nął
trze	sko	dła	pro	bie	ne	ko	decz
i	co	za	wro	skrzy	ku	w g'e	wro

Zagadka kryształowa.

Ułożył J. Szymanek, Stary Sambor.

Podane litery poprzestawiać w ten sposób, aby utworzyły trzy wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

a a a
a e k k k
k l l n o
o o p p r
r w w

Znaczenie wyrazów: 1. Znany jamochłon. 2. Tkanina. 3. Związek chemiczny.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył J. Szymanek, Stary Sambor.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie: Cel w miłe pół byka i łanię ojca! z. m.

Logogryf.

Ułożył M. Czeczótka, Podłęże.

Kwadraty i kreski zastąpić w ten sposób literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd środkowy, czytany z góry na dół, utworzy imię i nazwisko polskiej powieściopisarki.



Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Roślina doniczkowa. 3. Cesarz rzymski. 4. Imię żeńskie 5 Bogini łowów. 6. Okres czasu. 7. Szlachetny metal. 8. Utwór Krasińskiego. 9 Miasto w Rosyi. 10. Drzewo. 11. Pośrednik. 12. Inaczej jasyr 13 Poemat Słowackiego 14. Wykrzyknik. 15. Naczynie. 16 Zwierzę, stanowiące przejście od ssaków do ptaków. 17. Imię hebrajskie. 18. Zaimek. 19. Samogłoska.

Łamigłówka.

Ułożył J. Szymanek, Stary Sambor.

Uzupełnić podane wyrazy. Litery, wstawione w miejsce kresek, czytane w pierwszym rzędzie z góry na dół, podadzą nazwę bogini rzymskiej, w trzecim, z dołu do góry amerykański pieniądz.

— i —
— r —
— l —
— d —
— ó —

Szarada.

Ułożył W. Zachwatowicz, Lwów.

Pierwsze to zabawa, w roku jest ich parę,
Więc jeśliś jest *drugi*, wnet ci uśmiech śle,
Rozerwiesz się bracie, znikną myśli szare,
A kiedy w dom wrócisz, smutek legnie w mgle.
Całości chciej szukać w znanych leków rzędzie,
Bo wybitną rolę on tam zawsze gra,
A gdy wiesz już tyle, to ci łatwo będzie,
Odgadnąć szaradę. Trud pęknie, jak kra.

Zagadka literacka.

Ułożył Stan. Marc. Rzeszów.

Wynaleźć nazwiska autorów poniżej wyszczególnionych dzieł. Początkowe ich litery, czytane z góry na dół, utworzą imię i nazwisko wybitnego polskiego literata.

Dzwony?
Jaskółka?
Siedm szubienic?
Dusze z papieru?
Zaklika?
Marzyciel?
Przeznaczenie?
Nad Wartą?
Spojrzenie?
Komornicy?
Unia?
Rycerze północy?
Gołębie?
Za co?
Za cudze winy?
Pod rodzinnem niebem?

Zadanie do przestawienia.

Ułożył J. Szymanek, Stary Sambor.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie: Ach, pan Janko, znaku Krak, wszedł do komory.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *Wł. Jabłonowskiego:* **Wśród obcych.** (Zarysy i notatki literackie).

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Wacław Lipiński. Klisze z własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.